

CHARLES DICKENS

DAVID
COPPERFIELD



FILIA

CHARLES DICKENS

DAVID
COPPERFIELD

Dzieje, przygody, doświadczenia i zapiski
Davida Copperfielda Juniora Rodem z Blunderstone
(których nigdy ogłaszać drukiem nie zamierzał)

Tłumaczyła
Wilhelmina Kościałkowska w roku 1889

FILIA

TOM I

ROZDZIAŁ I

Przychodzę na świat

Czy sam zostanę bohaterem niniejszej powieści, czy miejsce to zajmie kto inny, następne rozstrzygną stronicie. W każdym razie zaczynam od początku, to jest od chwili mego urodzenia. Zgodnie z tym, co słyszałem i w co wierzę, wypadek ten miał miejsce w piątek o północy. Zegar bił właśnie dwunastą godzinę i jednocześnie ozwało się kwilenie nowo narodzonego, co właśnie, przez mamkę i pewną mądrą matronę z sąsiedztwa, od miesięcy już kilku i zanim osobiście poznać mię mogła, wielce w istnieniu moim zainteresowaną, zgodnie uznane zostało za zapowiedź po pierwsze, nieosobliwej doli w świat wchodzącego człowieka, po drugie, uzdolnienia tegoż człowieka do widywania duchów i strachów, właściwości niechybnie wrodzonej, jak to utrzymywały obie doświadczone niewiasty, i zwykłej dzieciom obojga płci, zrodzonym w piątkowych nocnych godzinach.

Co do pierwszego wniosku, historia mego życia wykaże, o ile był prawdziwym. Co do drugiego zauważę, że dotąd nie zdarzyło mi się sprawdzić jego słuszności, na co się zresztą bynajmniej nie uskarżam.

Urodziłem się, jak to mówią, w czepku, którego sprzedaż ogłoszono w dziennikach za skromną cenę piętnastu gwinei. Czy to, że żeglarze w nieosobliwych w tym czasie znajdowali się interesach, czy że osłabła wiara w podobne praktyki i bardziej niż czepkom zaufano korkowym pasom, nie wiem, dość, że się zgłosił jeden tylko nabywca, pewien adwokat, ofiarujący za wystawiony na sprzedaż przedmiot dwa funty w gotówce i tyleż winem, lecz odmawiający stanowczo zabezpieczenia się od utonięcia w wyższej cenie. Że zaś nawet piwnica biednej mojej matki była do sprzedania, nie dobito targu i dopiero w dziesięć lat później czepkę puszczone w okolicy, którąśmy zamieszkiwali, na loterię, w pięćdziesięciu biletach, pół korony każdy, z dopłatą przez wygrywającego pięciu szylingów. Byłem obecny przy tym

i pamiętam niemiłe uczucie, jakiegom doznał wobec podobnego rozporządzenia się częstką mej osoby. Fant wygrany został przez starą damę z koszykiem w ręku. Pamiętam, jak niechętnie dostawała z niego należną dopłatę drobnymi, co zabrało nieskończenie wiele czasu i było powodem wielu arytmetycznych zawikłań. Dama ta, co jest faktem niezwykłym i wartym pamięci, istotnie nie utonęła, lecz na własnym łóżku godnie umarła w dziewięćdziesiątym drugim roku życia. Wypada jednak dodać, że się trzymała stale ładu, a nawet wyklinała niezbożność żeglarzy i innych podobnych niegodziwców, usiłujących – jak mówiła – „wykrętami” naruszyć naturalny bieg rzeczy. Na próżno tłumaczono jej, że z tej to właśnie walki z naturalnym biegiem rzeczy osiągnano znaczne korzyści, a między innymi herbatę, którą szczególnie lubiła; na wszelkie dowodzenia odpowiadała ona nieodmiennie: „Wykręty to, ateuszowskie wykręty”.

A teraz bez wykrętów do rzeczy, to jest do mego przyjścia na świat.

Urodziłem się w Blunderstone, w hrabstwie Suffolk. Jestem pogrobowcem, gdyż ujrzałem światło dzienne w sześć miesięcy po zamknięciu na zawsze powiek mego ojca. Nie mogłem się nigdy pogodzić z myślą, że mój ojciec nie widział mnie nawet. Dotąd też pamiętam żal, który mnie zdejmował, ilekroć pomyślałem o samotnej jego mogile. Zwłaszcza w słotną i ciemną noc, gdy w jasnym i ciepłym naszym mieszkaniu płonął ogień na kominie, dostrzegałem coś bezlitosnego, jak mi się nieraz zdawało, w tych szczelnie zamkniętych naszych drzwiach i oknach.

Najbogatszą osobą w naszej rodzinie była ciotka mego ojca, a tym samym moja cioteczna babka, o której opowiem więcej w odpowiednim czasie – panna Trotwood albo też panna Betsey, jak ją nazywała biedna moja matka, gdy się zdobyła na odwagę, co zdarzało się niezmiernie rzadko, wzmiankowania tej imponującej osoby. Panna Betsey wyszła za mąż za człowieka młodszego od siebie i niezwykłej urody, na którym, niestety, nie sprawdziło się przysłowie o pięknej duszy w pięknym mieszkającej ciele. Utrzymywano, jakoby źle obchodził się z żoną, bił ją, a nawet przy drażliwej jakiejś pieniężnej kwestii chciał z drugiego piętra oknem wyrzucić. Taka niezgodność temperamentów skłoniła ciotkę mego ojca do rozstania się z mężem za wszelką cenę. Mąż, przyszedłszy w ten sposób do posiadania kapitału, wyjechał do Indii, gdzie, wedle przechowanego w rodzinie podania, widywano go jeżdżącego na słoniu, w towarzystwie księżniczki hinduskiej jakoby. Bądź co bądź, w dziesięć lat potem doszła wieść o jego zgonie. Jak wieść tę przyjęła ciotka, nikt nie

wie. Wróciła po śmierci męża do panińskiego swego nazwiska, nabyła mały na brzegu morza stojący domek i osiadłszy w nim z jedną tylko służącą, wiodła życie samotne i zamknięte.

Zrazu ojciec mój był jej ulubieńcem, lecz odkąd nie mogła mu wybaczyć ożenienia się z „woskową lalką”, jak nazywała moją matkę, tyle tylko o niej wiedząc, że nie ma jeszcze lat dwudziestu, przestał ją widywać. Ojciec mój, znacznie od żony starszy i słabego zdrowia, zmarł w rok po ożenieniu, a na sześć miesięcy, jak to już mówiłem, przed moim przyjściem na świat.

Tak się rzeczy miały w wieczór tego dnia, który pozwałam sobie nazwać pamiętnym. Nie roszcząc wszelako najmniejszej pretensji do oceniania na podstawie świadectwa własnych zmysłów istniejącego wówczas stanu rzeczy ani nawet do pamięci własnym nabytej doświadczeniem, powtarzam, co słyszałem.

Otóż matka moja, siedząc przed kominkiem, słaba i przygnębiona, przez łzy spoglądała na ogień, rozmyślając nad sobą i nad tym drobnym wyczekiwany gościem – sierotą, którego przyjście na świat powitać miał płonąca na kominku ogień. W pogodne, lecz wietrzne marcowe popołudnie siedziała tak cicha i wystraszona, wątpiąc, czy przeżyć zdoła zbliżającą się chwilę krytyczną. Podnosząc głowę, dla otarcia łez, spojrzała wypadkiem w okno i dostrzegła przechodzącą przez ogród nieznaną kobietę.

Od razu zgadła, że był to nie kto inny, tylko panna Betsey. Słońce, przedzierając się przez ogrodzenie, oświecało idącą śmiało, wprost przed siebie postać kobiecą, która zbliżywszy się do domu, dała niezbity już dowód tożsamości. Ojciec mój mawiał nieraz, że jego ciotka nie stosuje się w niczym do utartych zwyczajów. Toteż i tym razem zamiast zadzwonić u drzwi domu, zbliżyła twarz do okna, aż nos jej, jak utrzymywała moja matka, splaszczyl się i pobielal zupełnie. Widok ów tak dalece przeraził biedaczkę, że zapewne temu to niezwykłemu zjawieniu się ciotki Betsey zawdzięczam przyjście me na świat w fatalnym dniu piątkowym.

Matka moja porwała się z krzesła, szukając schronienia w głębi pokoju, gdzie ją panna Betsey, przewracając oczy, niby głowa Saracena na starym holenderskim zegarze, spostrzegła i przywołała do drzwi ruchem przywykłej do rozkazywania osoby. Matka moja drzwi otworzyła.

– Zapewne pani Copperfield – zauważyła panna Betsey, wchodząc do pokoju i spoglądając na żałobne szaty i zmienioną kibić mojej matki.

– Tak jest – odrzekła cicho zagadnięta.

Charles Dickens

– Trotwood – przedstawiła się nowo przybyłą. – Przypuszczam, żeś musiała coś o mnie słyszeć?

Matka moja odpowiedziała twierdząco wprawdzie, lecz bez zbytniego entuzjazmu.

– Widzisz mnie przed sobą we własnej osobie – dorzuciła nowo przybyłą.

Obie usiadły u kominka. Po kilku chwilach nieprzerwanego przez ciotkę Betsey milczenia matka moja wybuchnęła płaczem.

– Ts... ts... ts... – upominała ją ciotka – uspokój się, uspokój.

Długo biedna kobieta nie mogła się uspokoić.

– A teraz zdejmi ten czepek – zdecydowała przybyła – niech ci się przypatrzę.

Matka moja tak była przerażona, że gdyby nawet i chciała, nie śmiałaby sprzeciwić się dziwnemu nieco żądaniu swego gościa.

Drżącą ręką sięgając po wdowi czepek, w pośpiechu rozrzuciła włosy, które spłynęły na jej twarz i ramiona.

– Ależ to dziecko! Istne dziecko! – zawołała panna Betsey.

Istotnie matka moja była młoda, a wyglądała jeszcze młodziej. Spuściła tedy głowę, przyznając się do tego mimowolnego grzechu, i łkając upewniała ciotkę, że na nieszczęście młodą jest, zbyt młodą na wdowę, na matkę... jeśli notabene przeżyć zdoła to, co jej grozi... Zdawało się jej przy tym, że gdy tak skarżyła się, płacząc rzewnie, czuła przesuwaną się po swych włosach pieszczotliwą i miękką kobiecą rękę. Musiało to być jednak przywidzenie. Gdy podniosła załzawione oczy, ciotka siedziała na krześle prosta i sztywna, z założonymi na piersiach rękoma, z nogą wspartą o kratę kominka.

– Ha! – ozwała się po chwili – „Wroni Bór”, dlaczego mianowicie „Wroni Bór”?

– Pani ma zapewne na myśli nazwę tej miejscowości? – spytała moja matka.

– Dlaczego mianowicie „Wroni Bór” – powtarzała panna Betsey. – Przy waszej niepraktyczności „Domów Wzór” brzmiałoby stosownie.

– Nazwę tę – odrzekła moja matka – mąż mój wybrał jako odpowiednią.

Właśnie wiatr tak zachrzęścił w starych drzewach ogrodu, że mimo woli wzrok rozmawiających zwrócił się w tę stronę. Wiązy, pochylając się ku sobie na kształt borów szepczących zwierzenia, zatrzęsły się gwałtownie, jak gdyby odepchnąć chciały ciężką i straszną jakąś tajemnicę, na wiatr puszczając

David Copperfield

rozbijały gałęzie. Z najwyższych strącone, a zawisłe tam stare wronie gniazdo spadło, podobne do szczątków rozbitego na burzliwym morzu okrętu.

– Gdzież są ptaki? – spytała panna Betsey.

– Ptaki? – powtórzyła, budząc się z zamyślenia, moja matka.

– Wrony, gdzież się podziały? – pytała ciotka.

– Nie widziałam ich, odkądśmy tu zamieszkali – odrzekła moja matka i dodała: – Myśleliśmy, to znaczy pan Copperfield sądził, że miejsce to jest dla nich stosowne. Widać jednak gniazda były stare i od dawna już puste.

– Mam go, mam Davida, jak gdybym go widziała – zawołała ciotka – miejsce nazwać od gniazd i ufać, że ponieważ są gniazda, będą i ptaki. Liczyć na ptasią fantazję, to mi praktyczność!

– Pan Copperfield – przerwała matka moja – nie żyje i jeśli pani ośmiela się mówić o nim w podobny sposób, w mojej obecności...

Biedna kobieta próbowała stawić czoło naszej ciotce, zdolnej pokonać o wiele silniejszego od słabej tej istoty wroga! Matka moja padła osłabiona na krzesło, z którego usiłowała powstać, a gdy przysła do siebie czy też może została ocuciona przez pannę Betsey, ta stała u okna. Wieczór zapadał coraz głębszy i gdyby nie płonący na kominku ogień, rozmawiające kobiety nie mogłyby siebie widzieć.

– Hm! – zaczęła ciotka Betsey, wracając obojętnie na uprzednio zajmowane przy kominku miejsce – a kiedyż to spodziewasz się?...

– Czuję się słaba – wyjęknęła moja matka – nie wiem, co mi jest, pewnie nie przeżyję tego...

– O! o! – uspokajała ciotka – napij się tylko herbaty.

– Gdyby mi to pomogło!

– Pomoże, niewątpliwie pomoże, wyobrażasz sobie więcej, niż jest. Jak na imię tej dziewczynie?

– Sama nie wiem jeszcze, czy to będzie dziewczynka – zauważyła naiwnie moja matka.

– Niech nieba mają w swej pieczy to dziecię – zawołała ciotka, bezwiednie powtarzając sentencję wypisaną na pewnej szufladzie szafy w pokoju mojej matki, w której złożono początek mego doczesnego dobytku – wcale nie to miałam na myśli. Myślałam o służącej.

– Peggotty – odrzekła moja matka.

– Peggotty – powtórzyła z pewnym oburzeniem ciotka – chcesz we mnie wmówić, mała, że chrześcijańska dusza została ochrzczona podobnym imieniem?

Charles Dickens

– To jest jej nazwisko – odrzekła słabnąc moja matka – po nazwisku nazywał ją mój mąż, gdyż Peggotty nosi moje imię.

– Peggotty! – zawołała panna Betsey, otwierając drzwi – podawaj prędkiej herbatę. Twoja pani zaśląbla, nie marudźże!

Wydawszy ten rozkaz tonem osoby przywykłej do rozkazów i rzuciwszy badawcze spojrzenie na wychodzącą z kuchni ze świecą w rękę, zdziwioną tym nieznanym i rozkazującym głosem służącą, ciotka Betsey wróciła na poprzednie miejsce, podniosła brzeg sukni, nogę położyła na kratce kominka, a obie ręce złożyła na kolanach.

– Mówiłaś dopiero – zaczęła – o dziewczynce. Nie wątpię też ani na chwilę, że będzie to dziewczynka. Otóż od chwili urodzenia tej dziewczynki...

– Może będzie to chłopczyk – wtrąciła nieśmiało moja matka.

– Nie zaprzeczaj mi – odparła ciotka – wiem, co mówię. Przeczucie mnie nie myli. Otóż od chwili urodzenia tej dziewczynki rozciągam nad nią opiekę, będę jej chrzestną matką i proszę, aby się nazywała Betsey Trotwood Copperfield. W życiu tej Betsey Trotwood nie powinno być omyłek i niech nikt się nie ośmieli zażartować z uczuć tej Betsey Trotwood. Wychowamy ją starannie, będziemy strzec, aby zaufania i serca nie trwonila na darmo. Moja to już rzecz.

Za każdym z powyższych zdań ciotka potrząsała głową, jak gdyby z myśli i pamięci zrzucić chciała ciężar dawnych cierpień. Tak się przynajmniej zdawało mojej matce, gdy patrzyła na nią przy niepewnym blasku ognia, zbyt słaba zresztą, zbyt wystraszona i niespokojna o siebie, aby zdawać sobie sprawę z tego, co widziała lub mówiła.

– Czy David dobry był dla ciebie, moje dziecko? – spytała ciotka po krótkim milczeniu. – Czyście byli szczęśliwi?

– Bardzo szczęśliwi – odrzekła moja matka. – Był chyba zbyt dobry dla mnie.

– Pieścił cię, psuł zapewne.

– Teraz gdym została sama i opuszczona na tym świecie, teraz wiem, że w istocie tak było – załkała biedna kobieta.

– Ts... nie płacz, no nie płacz – pocieszała ją panna Betsey – nie byliście, widzisz, dobraną parą. Jak gdyby były dobre pary! Dlatego pytałam. Sierotą byłaś, co?

– Sierotą.

– Nauczycielką, zdaje mi się.

David Copperfield

– Nauczycielką dzieci w rodzinie, którą pan Copperfield odwiedzał czasem. Zauważył mnie i był zawsze bardzo dla mnie dobry... oświadczył się... przyjął oświadczy i takeśmy się pobrali – kończyła, ze zwykłą sobie prostotą, matka moja.

– Dziecię! Biedne dziecię! – mruzczała panna Betsey, pochylając nad ogniem zmarszczone czoło. – Czy ty w ogóle coś umiesz?...

– Przepraszam panią – wyjęknęła znów matka.

– Jak dom prowadzić, na przykład? – kończyła ciotka Betsey.

– Słabo – odrzekła – o wiele mniej niż bym chciała. David uczył mnie...

– Niby sam się znał na tym! No! – wtrąciła ciotka.

– Chciałam korzystać, chciałam z całego serca, a on był tak dobry, wyrozumiały, cierpliwy i gdyby nie...

Łkanie przerwało mowę mej matce.

– Prowadziłam rachunki starannie, co wieczór sprawdzaliśmy je razem – ciągnęła matka, łkając ciągle.

– Uspokój się, no, uspokój, nie płacz tak – mówiła ciotka.

– I nigdy najmniejsze nie zaszło między nami nieporozumienie – kończyła, płacząc matka moja. – Czasem tylko zarzucał mi, że moje trójki zbyt są podobne do piątek, że laseczki przy siódemkach i dziewiątkach zbyt kręte...

– Uspokój się, nie płacz tak – upominała ciotka. – Może ci to zaszkodzić i nie tylko tobie, lecz i mojej chrzestnej córce.

Ostatni ten wzgląd uspokoił nieco moją matkę. Czuli się zresztą coraz słabszą. Zapanowało milczenie przerywane pochrząkiwaniem ciotki.

– David – rzekła ona wreszcie – posiadał rentę. Czy zapewnił ci jaki fundusz?

– Był tak dobry, że pomyślał o mnie i część renty przelał na moje imię.

– Na jaką sumę?

– Sto pięć funtów rocznie.

– Mogło być gorzej – zauważyła ciotka.

Tymczasem z biedną moją matką tak źle już było, że wnosząc herbatę i świecę Peggotty przeleżała się na dobre. Pomogła swej pani natychmiast przejść do sypialnego pokoju, wysyłając jednocześnie po doktora swego siostrzeńca, Hama Peggotty, którego od dni już kilku w przewidywaniu tej konieczności przechowywała w kuchni bez wiedzy mojej matki.

I doktor, i wezwana do pomocy niewiasta zdziwili się wielce niespodziewanym widokiem obcej damy, siedzącej u kominka z groźną miną,

przewieszonym przez lewą rękę kapeluszem i uszami pełnymi waty. A że ani moja matka w tej chwili nie mogła udzielić żadnych objaśnień, ani też Peggotty nie umiała wytłumaczyć, zjawisko pozostało tajemniczym, do czego też przyczyniała się niemało wielka ilość wyciąganej z kieszeni i do uszu przez nieznaną pakowanej waty.

Doktor wróciwszy z pokoju chorej i przekonawszy się zapewne, że zmuszony będzie spędzić kilka godzin z nieznaną, usiłował być uprzejmy i towarzyski. Był to najspokojniejszy i najłagodniejszy pod słońcem człowieczek, starał się jak najmniej zabierać wszędzie miejsca, chód jego był cichy, jak stąpanie ducha w „Hamlecie”, głowę przechylał skromnie na ramię. Nie nazwałby złym słowem psa ani nawet na wściekłego psa nie potrafiłby burknąć, dałby mu choć jedno, choć pół, choć cząstkę dobrego słowa, a mowa jego, jak i kroki, była cicha i powolna. Nie, za nic w świecie, nawet dla wściekłego psa nie byłby on szorstki i ostry.

Toteż pan Chillip, spoglądając uprzejmie na moją ciotkę i zwracając pytanie do nieznanomej zatykającej uszy watą, spytał najuprzejmiej, dotykając przy tym swego lewego ucha:

– Miejscowe zapewne cierpienie?

– Co takiego? – odrzekła ciotka, wyciągając watę z ucha, niby korek.

Szorstkość pytania tak bardzo przeraziła łagodnego doktora, że o mało, jak zapewniał potem, nie stracił głowy. Niemniej jednak ze zdwojoną uprzejmością powtórzył pytanie:

– Miejscowe zapewne zapalenie?

– Głupstwo! – odrzekła ciotka, zatykając znów ucho.

Doktorowi nie pozostawało nic innego jak usiąść i przyglądać się wpatrzonej w ogień nieznanomej, dopóki nie wezwano go znów do chorej. Po kwadransie wrócił do bawialnego pokoju.

– Co, a jakże tam? – spytała ciotka, wyciągając watę.

– Pomyślnie, wcale pomyślnie – odrzekł – pomaleńku zbliżamy się do końca.

– Ba! – wstrząsnęła wzgardliwie głową i znów zakorkowała ucho.

Raziło to, strasznie raziło doktora, jak upewniał potem, lecz cóż miał począć? Siedział tedy cicho i spoglądał na nieznaną, która nie odwracała twarzy i oczu od ognia. I tak siedzieli naprzeciw siebie godzin parę, zanim znów nie wezwano doktora do chorej. Gdy wrócił:

– I jakże tam? – spytała ciotka, wyjmując watę z jednego ucha.

David Copperfield

– Nieźle, łaskawa pani! Postępujemy powoli, postępujemy.

– Ta-a-k! – warknęła, a doktor utrzymywał, że tak go przestraszyła tym mruknięciem, że wołał odtąd siedzieć na schodach po ciemku i nadto w strasznym przeciągu, niż dotrzymywać dalej towarzystwa nieznajomej.

Ham Peggotty, uczęszczający do szkółki i biegly w katechizmie, a co za tym idzie – wiarygodny świadek, opowiadał nazajutrz, że wszedłszy przypadkiem do pokoju, w którym znajdowała się panna Betsey, został natychmiast pochwycony w szpony przechadzającej się niespokojnym krokiem wzdłuż i wszerz pokoju damy. Dochodziły tu głosy i jęki, których zapewne wata zgłuszyć nie zdołała, i Ham padł ofiarą zdenerwowania panny Betsey. Porwała go za kołnierz, miotając nim, targała go za włosy i za uszy, szarpała, co zresztą potwierdzone zostało przez własną jego ciotkę, Peggotty, która widziała Hama po północy, wkrótce po wyjściu ze szpon panny Betsey, i zapewniała, że był niemal tak czerwony jak moja, drobnitka wówczas, osóбка.

Dobry doktor Chillip niezdolny był do zemsty, toteż skoro mu czas na to pozwolił, wszedł do pokoju, w którym przebywała nieznajoma, i zbliżając się do niej z uprzejmym uśmiechem:

– Rad jestem – rzekł – że mogę powinszować pani...

– I cóż? – przerwała mu ciotka.

Przeraził się biedak i starał się ułagodzić nieznajomą ukłonami i uśmiechem.

– Zwariował czy co? – wrzasnęła niecierpliwie ciotka Betsey. – Nie możesz mi pan odpowiedzieć?

– Uspokój się, droga pani. Nie ma się już czego trwożyć – uspokajał ją z uśmiechem doktor.

I dziwił się długo potem, i za cud niemal poczytywał, że go nie odepchnęła i tylko wstrząsnęła głową, ale to tak, że umilkł na razie. Po chwili dopiero, przyszedłszy do słowa, począł ją znów uspokajać:

– Rad jestem, że mogę powinszować łaskawej pani. Wszystko odbyło się szczęśliwie, nader szczęśliwie.

Ciotka Betsey nie spuszczała oka z mówiącego.

– Jakże się ona miewa? – spytała, zakładając ręce na piersi.

– Nieźle, wcale nieźle, i spodziewam się, że niebawem wróci do sił – upewniał lekarz – zważywszy zwłaszcza okoliczności, w jakich się to odbyło... Dziwnie szczęśliwie wszystko poszło. Możesz ją pani odwiedzić choć zaraz, nie zaszkodzi to jej wcale.

Charles Dickens

– Ależ ja pytam o nią – zawołała, niecierpliwiąc się panna Betsey.

Doktor przechylił głowę na ramię, uprzejmie uśmiechając się do nieznamącej.

– Jak się ma nowo narodzona? – wyjaśniła ciotka.

– Sądziłem... wiadomo już pani... jest to chłopiec – rzekł doktor.

Ciotka Betsey nie odrzekła na to ani słowa. Wziąwszy kapelusz za wstążki, uderzyła nim doktora po twarzy i odwróciwszy się, wyszła, aby już nie wrócić. Zniknęła, jak rozgniewana wróżka lub jedna z tych nadprzyrodzonych istot, które, obdarzony szczególnym darem, miałem widywać. Nie wróciła. Spoczywałem w kołysce, a matka moja na łóżku, lecz Betsey Trotwood Copperfield rozplynęła się we mgłach, z których dopiero com zstąpił w rzeczywistość. Wypływające z okien naszych światło rozświetlało mroczne szlaki podobnym mnie pielgrzymom. Oświetlało też wzgórze usypane nad popiołami tego, bez którego nie mógłbym istnieć.

ROZDZIAŁ II

Zaczynam pojmować

Pierwsze przedmioty, które się rysują wyraźnie na tle mego najwcześniejszego dzieciństwa, gdy się w nie cofam wspomnieniem, są: matka moja z pięknymi włosami i młodocianą postacią i Peggotty, o której kibici nie ma co mówić, a której czarne oczy zdawały się rzucać cień na całą twarz, a policzki tak były rumiane, ramiona okrągłe i jędrne, że mi się dziwnym zdawało, iż ptaszki nie dziobią ich chętniej niż jabłka na drzewie.

Zdaje mi się, że pamiętam je obie od chwili, gdy klękały albo przysiadły na ziemi, a ja próbowałem utrzymać się na nóżkach. Pozostało mi raczej wrażenie dotknięcia wskazującego palca Peggotty, za który chwytałem, gdym się chwiał, a który od ukłuc igły był szorstki niby tarka.

Może mi się tak zresztą tylko zdaje. Chociaż sądzę, że pamięć nasza sięga dalej, niż zwykliśmy przypuszczać, jak również spostrzeżenia dzieci uderzają niezwykłą trafnością. Sądzę nawet, że dorośli ludzie, posiadający ów dar spostrzegawczości, nie nabyli go z biegiem czasu, lecz przechowali z dni dziecięcych. Ludzie podobnym obdarzeni darem zachowują dziwną świeżość i wrażliwość, łatwość cieszenia się, które są przecież właściwościami wieku dziecięcego.

Zarzuca mi może niektórzy, że odbiegam od tematu, lecz przekonanie powyższe, własnym nabyte doświadczeniem, niech służy za poparcie niniejszej opowieści: czy jako dziecko posiadałem dar spostrzegawczości, czy też jedynie zachowałem wierne i świeże wspomnienie dni dawno ubiegłych – w opowiadaniu mym opierać się muszę bez względu na to na obu tych właściwościach.

Pierwszym tedy wrażeniem pozostałym z dni dziecięcych są, jakem to już rzekł: matka moja i Peggotty. Cóż pamiętam nad to? Zobaczmy.

Niby spoza mgły wyłania się dom nasz. Stary mi się wydawał i znany, dokąd sięgam pamięcią. Na dole była kuchnia z wyjściem na tylne podwórze.

Na środku podwórza gołębnik bez gołębi, w kąteczku psia buda bez psa, a wszędzie pełno ptactwa, które mnie przstraszało wojowniczym swym zachowaniem. Pamiętam zwłaszcza jednego koguta. Piejąc na pieńku, zdawał się nie spuszczać ze mnie oka. Drżałem, spoglądając spoza drzwi kuchni, bo taki groźny mi się wydawał. O gęsi prześladowanej mnie sykaniem i wyciągniętą szyją śniłem po nocach, jak podróżny śni o dzikich bestiach.

Z kuchni do drzwi wejściowych wiódł nieskończenie długi, jak mi się zdawało, korytarz. Położona przy nim ciemna spizarenka mijana bywała przyspieszonym krokiem, pod wieczór zwłaszcza, bo kto wie, co się kryć mogło w tych garnkach, słojach i pudłach od herbaty, gdy promień świecy nie rozpraszał mroków izdebki wydającej woń mydła, octu, pieprzu, świec i palonej kawy, wszystko razem, niby jedno tchnienie, za każdym uchYLENIEM drzwi. Były też w domu dwa bawialne pokoiki, ten, w którym przesiadywaliśmy zwykle wieczorami z matką moją i Peggotty, gdyż Peggotty po skończonej pracy dotrzymywała nam towarzystwa i wchodziła w skład rodziny, i drugi, obszerniejszy i wytworniejszy, w którym przesiadywaliśmy tylko w niedzielę. Pokój ten wydawał mi się ponury, dlatego może, że mi Peggotty opowiedziała raz, nie wiem już kiedy, bardzo dawno, o pogrzebie mego ojca i w żałobę ubranym zgromadzeniu. Pewnego niedzielnego wieczoru matka moja czytała nam o wskrzeszeniu Łazarza. Przeraziło to mnie okropnie. Musiano wyjąć mnie z łóżeczka i pokazać przez okno cmentarz w oddali, ze wszystkimi zmarłymi spoczywającymi spokojnie pod nienaruszonymi mogiłami i łagodnym światłem miesiąca.

Nie znam głębszej zieleni niż zieleń trawy tego cmentarza ani większego cienia niż cień rosnących tam drzew, ani spokoju większego niż spokój nagromadzonych w owym miejscu mogił. Z rana, klęcząc na moim pościu za parawanem, przy łóżku mojej matki, widziałem trzody pasące się opodal i różowy odbłask słońca na zegarze słonecznym i nieraz myślałem, że i ono cieszy się pewnie, że znów może pokazywać godzinę.

W kościele mieliśmy ławkę z wysokim oparciem, tuż przy oknie, skąd dojrzeć można było dom nasz; korzystała z tego Peggotty, aby zobaczyć, czy nie stał się on czasem pastwą płomieni lub złodziei. Lecz to, co wolno było Peggotty, mnie zabronione było surowo i gdy stawałem na ławce, ta sama Peggotty zwracała mnie twarzą do stojącego u ołtarza księdza. Znałem go dobrze, jego i białe pokrycie na ołtarzu, toteż nudziło mi się wciąż na to patrzeć. A gdyby przerwał nabożeństwo i spytał, co robię?... Mrowie przechodziło

mnie na samą tę myśl. Musiałem przecież czymś się zająć. Patrzyłem na moją matkę, lecz ta udawała zawsze, że nic nie widzi. Spoglądałem w stronę stojącego u ołtarza chłopaka, który robił do mnie wtedy miny. Spoglądałem na słup słoneczny wpadający przez otwarte na oścież drzwi kościoła i dostrzegałem owieczkę, nie zbląkaną ludzką, lecz najwykleszą pod słońcem owieczkę, usiłującą wejść do świątyni. Czułem, że jeśli będę się jej dłużej przyglądał, ulegnę pokusie przemówienia głośno, a wówczas co będzie?... Prędko tedy odwracałem oczy i wpatrywałem się z kolei w tablice marmurowe pokrywające ściany kościoła. Myślałem przy tym o niedawno zmarłym panu Bodgers i o tym, jaki żal ścisnąć musiał serce pani Bodgers, i o tym, dlaczego nie zawezwano do chorego doktora Chillipa. A jeśli wzywano go, czemu mu nie pomógł i jak mu przykro być musi co tydzień przypominać to sobie? Spoglądałem wówczas na doktora siedzącego w odświętnym krawacie przed amboną i myślałem, że byłaby ona doskonałym miejscem do zabawy. Gdyby, na przykład, drugi chłopiec atakował ambonę jak twierdzę, aksamitne poduszki służyć mogły za kartacze, jakże wygodnie byłoby ciskać je z góry! Pomału, pomału kłoniłem senną główkę, powieki mi się kleiły, zdawało mi się, że słyszę księdza, jak śpiewa kołysankę, lecz wkrótce nie słyszałem już nic, spadałem z ławki i Peggotty wynosiła mnie przerażonego z kościoła.

Widzę nasz dom, ozdobione kratą okna sypialni, otwarte dla wypuszczenia świeżego powietrza, stare więzy u bramy i kołyszące się na nich, powichrzzone wronie gniazda. Widzę na dziedzińcu, o parę stóp za pustym gołębnikiem, tuż obok psiej budy, owianej ćmą motyli, bramę zamkniętą na kłódkę, a tam dalej na gałęziach drzew owoce obfitsze i soczystsze od wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Pamiętam, jak matka moja zbierała je do koszyka, a ją, udając niewzruszonego, zrywałem ukradkiem agrest po agrestie.

Wiatr rozwiął wiosenną i letnią pogodę i oto nastaly długie zimowe wieczory. Bawimy się i tańczymy sobie dokoła kominka, a na kominku płonie wesoły ogień! Gdy matka moja zmęczona pada na fotel, widzę, jak naokoło delikatnych paluszków owija rozrzucone pasma włosów i poprawia stanik sukni. O! matka moja była bardzo ładna, wiedziała o tym i nikt też lepiej ode mnie nie wiedział, jak bardzo lubiła zawsze i wszędzie ładnie wyglądać. Pozostało w mojej pamięci i to, żeśmy oboje z matką bali się trochę Peggotty, która też nami kierowała dowolnie.

Wieczoru pewnego siedziałem z Peggotty przed kominkiem. Pamiętam, czytałem jej coś na głos o krokodylach. Musiałem czytać niezwykle wyraźnie

**To najdoskonalsza z wszystkich
powieści Dickensa!**

Virginia Woolf

David Copperfield mimo utraty ojca spędza szczęśliwe dzieciństwo u boku matki i ukochanej służącej. Jego idylla kończy się w wieku 10 lat, po ponownym zamążpójściu matki. David doznaje wiele przykrości i upokorzeń ze strony pastwiącego się nad nim ojczyma. Zmuszony do ciężkiej pracy, mimo okrutnych zrządeń losu decyduje się na ucieczkę ze środowiska, w którym żyje. Po drodze co rusz traci i odzyskuje nadzieję na osiągnięcie wymarzonego celu – zostania pisarzem.

**„I wracając myślą do tej chwili,
odczuwam głębokie współczucie
dla niewinnego, marzycielskiego chłopca,
który budował swój fantastyczny
świat w otoczeniu tak podłych, niskich
ludzi i zdarzeń”.**

Cena: 119,90 zł

ISBN 978-83-8357-016-7



9 788383 570167